

Jednodniówka Dywizjonu 309

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności prześladował nasz dywizjon. Ćwiczenia były często odwoływane. Załogi wracały spośród mgieł, deszczów i zawiei. W końcu kilka maszyn z eskadry A wyleciało na ćwiczenia. Jedna załoga zginęła w wypadku lotniczym. Byli to: Dziadzio por. pil. Dunin Jerzy, jeden z najlepszych, wzór przyjaźni i tyle zalet, jakie każdy pragnie znaleźć wśród kolegów, i por. obserwator Homan Jerzy, który niczym nie różnił się od Dziadzia, chyba tym jedynie, że marzył o pilotażu.

Ktoś z żalu po ich stracie zapłakał jak dziecko – inny rozbił szklankę o ziemię i w ramieniu pułkownika łązy chował. Dziadzio, jako zastępca dowódcy eskadry, został wyznaczony na dowódcę klucza wydzielonego do współpracy z piechotą w Dywizjonie. Jego obserwatorem był Homańczyk. Nikt wtedy nie przypuszczał, że będzie to ich ostatni lot.

Dziadzio, por. pilot Jerzy Dunin, słynny był jako gospodarz kasyna oficerskiego. Organizowane przez niego życie miało charakter niecodziennej kultury – pełen taktu, uprzejmy i miły towarzysz, był lubiany przez wszystkich. Miał tylko jedną słabość – kochał się aż do przesady w zegarkach. Przyznać trzeba, że po mistrzowsku spełniał wszystkie prace w tym drugim swoim fachu. Wspaniały warsztat zegarmistrzowski zdobił jego mieszkanie, setki kółeczek, sprężyn – najrozmaitsze zegarki i zegareczki można było u niego znaleźć.

Homańczyk, obserwator Jerzy Homan, był inny z usposobienia. Cichy i spokojny zdawał się być zamkniętym w sobie. Miał swoje otoczenie preferansowe, w którym nosił nazwę księdza kanonika. Często mówił o swej kawaleryjskiej przeszłości i marzył o tym, by dostać się na pilotaż.

W ostatnim swym locie był obserwatorem Dziadzia, który właśnie w tym dniu dysponował niecodzienną energią. Wywoływał nas tak dokładnie i regulaminowo, jakby chciał pokazać dowódcy eskadry, że on też umie gospodarzyć.

Wystartowaliśmy w chmury i śnieg, trudno było się przedrzeć w jaśniejsze miejsce. Od czasu do czasu wyskakiwały okna brudne i zamglone, przez które ledwie można było zobaczyć białą ziemię. Dopiero nad górami zrobiło się jaśniej. Przecinaliśmy je z płn.-wsch. na płd.-zach. i każdy z nas wpatrywał się w

piękno, które przyroda rozsypała pełną garścią. Z tyłu za mną Amerykańczyk myślał pewnie o Andach, a może o Tatrach – kto wie, czy może w swojej fantazji nie widział kwitnących drzew pomarańczowych na szczytach śnieżnych gór. Przecież on zalewał Dziadziowi pod któryś tam kieliszek, że piasek Sahary jest czasem bielszy jak śnieg i że kwitną tam róże Sahary, które niczym diabelski bicz powstają z piasku.

Za górami pogoda zmieniła się zupełnie. Ledwie się skończyła jedna mgła, wpadaliśmy w drugą. Lądowanie odbyło się też w podobnych warunkach. Przez całe popołudnie pogoda była też „pieska”, jednak zrobiliśmy małą próbę powietrza. W tym czasie Dziadzio i Amerykańczyk zgrywali dwóch nieznanych asów, a Homańczyk siedział z boku i gwarzył ze starymi znajomymi.

Wieczorem przyjechał do nas jakiś magik z piechoty. Omówił z nami ćwiczenia, no i tak przeszedł cały dzień.

Późno w noc spotkałem Jurka K. i z nim wybrałem się do Dziadzia. Przynieśliśmy Mu wspaniałe jabłko. Siedział u Niego Amerykańczyk, kończył właśnie rozpoczęte zdanie:

– Pan hrabia łaskawie zabija czas naprawianiem zegarków, choć to chamskie zajęcie, arystokracja się pospolituje – gdyby to Jasio robił, ale pan hrabia Jerzy Dunin?

– Nie dziwcie się Jemu – Dziadzio machnął ręką – on sam nie wie, czego chce.

– Właśnie, że wiem.

– Więc masz – hrabia podał mu pół jabłka.

– Chcesz mnie przekupić? Ale to nic, wezmę. To wasz stary arystokratyczny system, zatkać usta byle czym i dalej robić swoje.

– Jeszcze jest drugi – dodał Dziadzio.

– Jaki?

– Sto bizunów dla takich jak Ty.

Zostawiliśmy ich samych. Jeszcze przy nas Amerykaniec położył się na łóżku Dziadzia, zjadł mu resztę jabłka i kazał sobie podać papierosa. Diabeł wie, który z nich czuł się większym arystokratą.

Na drugi dzień od rana rozpoczęliśmy loty, na rozpoznanie i współpracę z piechotą. Po każdym lądowaniu angielski oficer łącznikowy składał nam gratulacje. Dziadzio promieniał jaśniej słońca, bo wszystko szło jak w zegarku nastrojonym przez Duninka. Tylko jeden Homańczyk stał na uboczu i patrzył gdzieś w daleki horyzont. Był dziwnie obcy.

– Hej, Homańczyk! – krzyczał do niego Amerykaniec, kopiąc piłkę. – Chcesz herbaty?

– Eee, nie chce mi się.

– Nie masz forsy? Zafunduję Ci.

– Eee, mam, daj mi spokój.

Nie odbił nawet piłki, podrzuconej umyślnie pod nogi. Wlazł między hangary i pokazał się dopiero po południu. Słońce świeciło, powietrze było spokojne, ale nastrój nie był dobry. Staliśmy wszyscy razem w kombinezonach, przeglądając mapy i oznaczając miejsca bombardowania z lotu nurkowego i niskiego. Obok nas stała cała gromada mechaników. I znowu zaczęło się jak zwykle od Amerykańca.

Dziadzio uparł się, że on nie poleci.

– A ja Ci mówię, że polecę.

– Nie polecisz, wszystko ode mnie zależy, jestem dowódcą i daję Ci rozkaz. Pójdiesz do adiutanta i wymeldujesz się.

Dziadzio wyjął kilka papierków i podał Amerykańczykowi. Ten spokojnie schował je pod kombinezonem, jak gdyby wszystkie rozkazy Dziadzia jego nie dotyczyły, i powiedział:

– Załatwimy to jak wrócę.

A potem, w miłym, proszącym tonie dodał:

– Wiesz, ja naprawdę chcę polecieć.

Wykonał przy tym ruch, po którym usłyszał coś w tym rodzaju:

– Wariacie, schowaj swoje niedźwiedzie łapy i leć na złamanie karku.

Dziadzio zgodził się też na moją prośbę, że polecę pierwszy. Ustaliliśmy miejsce spotkania w powietrzu, ilość nalotów i wtedy Amerykaniec zaczął tłumaczyć Homańczykowi, że głupio gada. Nie przypominam sobie jego słów dokładnie, w każdym razie chodziło o to, by Homańczyk przestał się martwić.

– Ach, głupio gadasz, Homańczyk, na nas też przyjdzie kolej.

– Tak – bronił się atakowany – ale ilu moich kolegów lata.

Wstyd mi, rozumiesz, wstyd mi, że gorsi ode mnie latają i kończą kontyngent bojowy, a ja? Nawet głupio mi z nimi rozmawiać, wczoraj wieczorem spotkałem kilku.

– Nie rozpaczaj – przerwał Dziadzio – dostaniemy maszyny i wtedy będą równe szanse.

Wszyscy melancholijnie kiwali głowami, bo cóż było robić! Homańczyk miał rację, Dziadzio też, każdy zdaje się myślał o obiecanie cacance.

– Masz to – Dziadzio zwrócił się do Fuksia, wyjmując dwa funty. – Jeden na zapłacenie rachunku, a drugi, pamiętasz, byłem Ci winien. Załatwisz to po locie.

Trzeba wtedy było widzieć kapitalną minę Amerykańca, wykonał kilka magicznych ruchów przed czołem Dziadzia, chwycił go za puls.

– Co Ci się stało?

Musiało to gadanie Dziadzia zdenerwować, bo mówił coś o starości i mądrości, i o dziwnym płynie, co na mózg uderza.

Nie mógł mu darować tego, co i ja uważałem za głupi kawał. Gadał o tym jeszcze, włączając do maszyny, że to jest całkiem idiotyczne i ściaga nieszczęście.

Zaraz po starcie okazało się, że wiara w przesady nie jest gołosłowna. Po wyciągnięciu maszyny w górę chciałem wyrównać, a tu ani rusz. Poczułem zimny pot na czole. Pchając knypel oburącz, skierowałem jednocześnie spojrzenie na szybkościomierz i po raz pierwszy miałem wrażenie, że brak mi sił. Jakiś niesamowity ciężar pokonywałem, choć logika i fakty wykazały za chwilę, że wszystko było w normalnym stanie. Stery pracowały prawidłowo, zegary wskazywały normalnie, a silnik grał swą niczym niezakłóconą muzykę.

Dalszy lot był zupełnie spokojny. Ciągnęliśmy trójką. Dziadzia miałem z prawej strony, a Romcia z lewej. Potem zmieniliśmy szyk „na schody w prawo”.

Przed celem przewaliłem maszynę i rwałem w dół, dopiero w czasie wyciągania maszyny usłyszałem głos Amerykańca, wołał: – Dziadzio nie wyprowadził!

Powtórzył mi to bodaj ze trzy razy.

Nie odpowiedziałem mu, bo całą uwagę skupiłem na prowadzeniu maszyny na niskim locie. Przeleciałem po raz drugi ponad celem, skręciłem na szosę i tam skakaliśmy ze słupa na tank, a z tanku na słup. Nie było czasu na gadanie.

Z „kosiaka” przeszedłem na lądowanie i po kołowaniu, w czasie wyłączenia z maszyny, powiedziałem, że jeżeli do pięciu minut Dziadzio nie wróci, to polecimy go szukać.

W tej samej chwili podbiegł do nas podoficer angielski i zameldował:

– Third aircraft crashed – both killed.

Wiadomość ta była dla mnie niby grom z jasnego nieba.

Odruchowo zwróciłem się do stojącego obok Amerykańca. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby nie rozumiał, o co chodzi. Po chwili odszedł. Spotkałem go później w „Watch Office”. Kazał mi zamówić samochód, którym chciał pojechać na miejsce kraksy. Nie zgodziłem się na to. Około godziny szesnastej wystartowaliśmy, lecąc tą samą trasą, którą Dziadzio wybrał przed śmiercią.

Śnieg nie był już tak biały i góry nie tak piękne. W ogóle było głupio i pusto.

Kilkakrotnie zagadywałem Amerykańczyka, ale on przesuwiał przełącznik, nie odpowiadając ani słowa. Pewnie czuł do mnie żal o to, że nie dałem mu samochodu, ale zrobiłem to celowo, ponieważ byłem przekonany, że po Dziadziu i Homańczyku musiały pozostać tylko strzepy porozrzucane po całym polu. Oglądanie tego na pewno musiałyby wywołać wstrząsające wrażenie.

Rozumiałem to tym bardziej, że Romcio opowiadał mi, jak po przewrocie maszyny widział samolot Dziadzia spadający pionowo na ziemię. Zastanawiałem się nad przyczyną upadku. Jediną odpowiedzią było serce Dziadzia.

Pewnego razu niewiele brakowało, a byłby się zabił z Ciupusiem, jak powiadał oczy mu przesłoniła jakaś ciemna mgła. W związku z tym został zawieszony w lotach, po urlopie i badaniach lekarskich uznano go za zdolnego, i Dziadzio nie przestał latać.

Jego obserwator Homańczyk musiał przeżyć krótką, ale tragiczną chwilę, może w ostatnim ułamku sekundy, zrozumiał że to przeznaczenie. Śmierć przecięła kres jego marzeń i tęsknot do lotów nad ziemią wroga. Do tych lotów, których zazdrościł kolegom z bojowych dywizjonów.

Po wylądowaniu w Dywizjonie wyszedł naprzeciw nas Ciupuś. Zapytał o coś Amerykańca, ale ten mimochodem wskazał na mnie ruchem głowy. Jakby nie miał nic do opowiadania.

Zobaczyłem następnie Amerykańca w kasynie: siedział przed piecem i patrzył w ogień. Nie odpowiadał na żadne pytania. Czasem prostował się tylko, tak jakby chciał zrzucić z siebie jakiś ciężar. Przy podwieczorku usiadł obok mnie. Podniósł filiżankę do ust i odstawił ją. Wyszedł z pochyloną na piersi głową.

Później w saloniku siedział pochylony a szerokie jego ramiona wstrząsał głęboki szloch – płakał.